

Łopalewska Rozumowa Łucja – Zapach świeżego chleba

Osiemnastoletnia warszawianka, Łucja Łopalewska-Rozumowa opuściła Warszawę wraz z całą rodziną 3 października i znalazła się w obozie Dulag 121. Swoje przeżycia obejmujące drogę z Warszawy, dramatyczne segregacje w obozie w Pruszkowie i okropną podróż pociągiem pani Łucja Łopalewska-Rozumowa opisała jeszcze w 1944 roku podczas pobytu na wsi Zawada koło Szczekocin. W późniejszym okresie te wspomnienia zostały przepisane i uporządkowane przez autorkę, a w 2013 roku przekazane do Muzeum Dulag 121.

Wąskie strumyczki ludzi wylewają z ruin, z ocalałych bram, z piwnic. Łączą się w rzeczki płynące wolno środkiem ulic-wąwozów, między gruzami i wypalonymi resztkami murów. Wpadają w główny nurt, który przepływa przez rozwaloną, niepotrzebną już barykadę zamykającą wylot ulicy Śniadeckich na plac przed Politechniką. Tu jest granica tego wolnego skrawka Polski, gdzie żyliśmy dwa miesiące. Tu byliśmy wolni. Doniosłości tego faktu nie mogły umniejszyć sypiące się z góry bomby, pociski, „krowy”, „gruba Berta”, granatniki ani pożary, walące się domy, zasypane z ludźmi piwnice, ranni w przepelnionych szpitalach powstańczych, zabici pochowani w ulicznych mogiłach. Żadne ludzkie tragedie.

Koło Politechniki szpalerem stoją Niemcy. Pierwsi Niemcy, których widzimy w Śródmieściu po dziewięciu tygodniach walk. Stoją nieruchomo, patrząc na sunącą przed nimi rzekę ludzką, niektórzy robią zdjęcia. Milczą. Czasem któryś pomoże rannemu czy komuś starszemu przejść przez zwałisko barykady. Ludzki odruch litości? Niemożliwe. Wspaniałomyślny gest zwycięzcy? Czy po prostu pozowanie do pamiątkowej fotografii?

Mijamy ich w zupełnym milczeniu. Widok zielonych mundurów działa wstrząsająco, staje się jeszcze większą tragedią, gdy zostawiamy za sobą spalone, leżące w gruzach miasto. Nasze Miasto. Cały dobytek unosimy w tobołkach na plecach i w rękach. Przed nami zupełnie niewiadoma przyszłość. Najstraszniejsze jest to, że znów znajdujemy się w mocy wroga. Że zgasła nasza nadzieja...

Jest wtorek, trzeci dzień października. Idziemy w nieskończenie długim korowodzie. Mijamy ulice 6 Sierpnia, Filtrową, wchodzimy w Grójecką. Wszędzie po obu stronach stoją Niemcy z wycelowanymi w nas karabinami, ale jakoś nie wrzeszczą, nie popychają, nie szykanują. Strzelają jednak, gdy ktoś z tłumu nie oprze się pokusie pomidorów czerwieniejących na opuszczonej działce.

Powoli przestaję się orientować, którądy idziemy. Jedno jest pewne – podążamy w kierunku zachodnim. Słońce, pomimo że to już październik, praży. Z każdym krokiem tobołki stają się cięższe. W myślach coraz większy zamęt. Obok mnie idzie Matka zgięta pod swoim tobołem, prowadzona pod rękę przez Ojca. Z jego drugiej strony mój dziesięcioletni Brat. Też coś z wysiłkiem dźwiga. Przed sobą widzę zgarbione plecy Babci ciężko wspierającej się na lasce. Słyszę jej chrapliwy, urywany oddech. Obok niej na niepewnych nogach sunie Dziadek, potykając się na nierównościach zrytej pociskami ulicy. Lada chwila może upaść. Za mną rozlega się nagle ni to płacz, ni to kwilenie, pisk cichszy od pisku myszy. Nie muszę się oglądać, wiem, skąd się dobywa: z zawiniątka, które tuli Marianna. Wiem, jak wygląda to pięciomiesięczne niemowlę, które cudem jakimś przeżyło dwa miesiące Powstania pomimo ciężkiej biegunki. Pamiętam dzień – było to w połowie sierpnia – gdy obie z Marianną chodziłyśmy do okolicznych szpitali powstańczych, do punktów opatrunkowych na Mokotowskiej, Kruczej, Hożej, Wilczej, gdzie prosiłyśmy, błagałyśmy o ratunek dla umierającego dziecka. Nie było leków, uzyskałyśmy kilkanaście ampulek z roztworem soli

fizjologicznej. Nie wierzyłyśmy, że to pomoże. Stał się cud: pomogło. Dziecko przeżyło. Teraz słyszę za sobą głos-szept Marianny: „Wszystko na próżno...”. Wszystko na próżno! W tych słowach zawiera się nasza tragedia i nasza rozpacz. Wszystko na próżno: męka ludzi, ratowanie umierającego dziecka, heroiczna walka...

Gdy na moment się odwracam, widzę twarz Marianny, zupełnie nieruchomą, zastygłą. Tak samo wyglądała przed dwoma tygodniami po otrzymaniu wiadomości, że w bramie na Hożej pocisk rozerwał jej matkę i siostrę...

Idziemy. Ani na moment nie można się zatrzymać, by choć na chwilę przysiąść. Przede mną setki, tysiące ludzi. Za mną setki i tysiące. Mieszkańcy miasta, stolicy kraju w środkowej Europie. Wszyscy, którzy przeżyli, oprócz tych, którzy za kilka dni w zwartym szyku, w myśl umowy kapitulacyjnej, wymaszerują do niewoli. Czuję na sobie wzrok Ojca, w nim pytanie: czy dobrze zrobiłam, ulegając prośbom Rodziców, aby nie iść z moim oddziałem do niewoli. Aby końcowy akt dramatu przeżyć razem. Wspólnie opuszczamy nasze Miasto. Pozostaną ci, którzy zginęli, pogrzebani i niepogrzebani. Tysiące, dziesiątki, może setki tysięcy. Nie odpowiadam Ojcu spojrzeniem. Nie rozstałam się z nimi, nie zostawiłam ich na niepewny los. Czy mój, w niewoli, byłby lepszy? W tej chwili jest mi wszystko jedno, gdzie się znajdę. Jedyne moje pragnienie – aby nas nie rozdzielono. Niech będzie poniewierka, głód, najcięższa praca – byle razem

Mijają godziny. Dochodzimy do celu koszmarnej wędrówki, do Dworca Zachodniego. Tu przyjeżdżają i stąd odjeżdżają pociągi towarowe i pasażerskie starego typu. Do nich Niemcy upychają napływający tłum, pomagając sobie kolbami karabinów i wrzaskiem. Upchali i naszą grupę rodzinną. Gdy pociąg wreszcie rusza, rozlega się tłumiony szloch. Opuszczamy nasze Miasto. Dokąd jedziemy?

Zaledwie po kilkunastu minutach pociąg staje. P r u s z k ó w. Zaczyna się wyładowywanie. Znowu wrzask i kolby karabinów. Nie wszystkim udaje się zeskoczyć z wysokich stopni na ziemię. Ktoś pada i nie może się podnieść. Ktoś jęczy, ktoś histerycznie krzyczy. Słychać rozpaczliwe nawoływania i płacz dzieci. Niemcy nie zachowują się już tak powściągliwie jak na ulicach Warszawy. Ich gardłowy wrzask miesza się z tumultem tłumu. Z przerażeniem myślę o moich Dziadkach, których w zamieszaniu straciłam z oczu... Gdzie Rodzice?... Gdzie reszta Rodziny?... Nareszcie pociąg opustoszał, wszyscy się wytoczyli, większość powpadała jak kartofle z worka. Jakoś się odnajdujemy...

Znowu idziemy długim korowodem, potykając się wśród płataniny torów, wzdłuż wysokiego muru. Wchodzimy na tereny kolejowych zakładów naprawczych, zbliżamy się do wielkich budynków z ciemnoczerwonej cegły o zakopconych czarnych oknach. Tłum staje, znowu milczący, wyczerpany, bierny. Trzeba wejść w szpaler mundurów, hełmów, karabinów i ujadających psów. Instykt mówi nam, że zbliża się moment, którego się obawiamy. Z daleka widać, że wyciekający z niemieckiego szpaleru wąski strumień kierowany jest na prawo lub na lewo. Przerażenie! Rozdzielają rodziny! Ojciec drżącą ręką sięga do kieszeni po zaświadczenie, które przez całą okupację chroniło go – teoretycznie – przed łapankami (na szczęście w żadną nie wpadł): że jest chory na płuca. Niemcy boją się gruźlicy, jak wszelkich chorób zakaźnych. Czy tu też się boją? Czy tu ma jakiegokolwiek znaczenie, że ktoś jest chory? Czy w ogóle są tu zdrowi?

Do czoła szpaleru Niemców zbliża się nasza Rodzina. Widzę, jak w prawo odchodzi Babcia, potem Dziadek. Brat mojego Ojca Janusz z sześciolletnią Jolą coś tłumaczy, pokazując za

siebie, ruch pejczy kieruje go na prawo, jego żonę z dziesięcioletnią Krysią w ślad za nim. Zbyszek i Celina – bezdzietne młode braterstwo Ojca – na lewo. Moja Matka z synkiem – na prawo. Ojciec pokazuje swoje zaświadczenie – krótkie wahanie tego, który pogardliwie rzuca na nie okiem, ale... na prawo. Teraz ja – pejcz wskazuje kierunek: na lewo.

Odchodzę na lewo niezdolna do żadnych uczuć. Dopiero gdy tłum wokół mnie gęstnieje, ogarnia mnie bezsilna rozpacz. Oczami szukam swoich, tych skierowanych w prawo. Mignęła kolorowa chusteczka na włosach Matki. Ale może to inna chusteczka na innej głowie? Nie widzę bliskich twarzy wśród starszych, chorych, z małymi dziećmi. Wszyscy zresztą są już wpędzani przez szeroko otwartą bramę do olbrzymiej hali – jak w czeluść piekła. My skierowani na lewo – młodszy, zdrowsi, bez dzieci – nadal stoimy. Słyszę obok siebie szept: „Koncentrak czy roboty?”. Nie widzę mojego młodego stryja ani jego żony, jestem w tym tłumie zupełnie sama, w samym jego środku. Instykt każe mi się wycofać na odległy jego kraniec, bliżej wejścia do budynku. Wycofuję się ostrożnie, na razie przeszkód nie ma. Dopiero po chwili widzę utrudnienie: od budynku dzieli mnie kilka metrów zupełnie pustej przestrzeni. Jeżeli tam się znajdę, będę widoczna jak na dłoni. Strzał może paść z każdej strony. Niemcy i kłębący się tłum wygnańców z Warszawy nadal są tam, gdzie trwa segregacja, mimo to boję się. Lęk nie trwa jednak długo, rozpacz dodaje mi odwagi. Nie zastanawiam się nad ryzykiem i skaczę za jakiś mizerny krzaczek, skąd już blisko do narożnika budynku. Bez namysłu decyduję się na drugi skok i...- już jestem w miejscu, z którego nie widać Niemców. Nikogo tu w ogóle nie ma. W oddali mignęły sylwetki ludzi w białych fartuchach, ale ich chyba nie trzeba się bać. Mijam jakieś prowizoryczne latryny z nadzieją, że niedaleko powinno być jakieś wyjście z budynku. JEST!

Boczną, wąską bramą wchodzę w mroczną czeluść. Mimo mroku widzę, że są tu setki, tysiące, może dziesiątki tysięcy ludzi. Siedzą, leżą ciasno, jeden obok drugiego. Jakże ja w tej ciżbie, w gęstniejących ciemnościach odnajdę swoich? Idę, potykając się o leżących, siedzących, ich toboły, krążę, pochylam się nad każdą stłoczoną grupką. Słyszę cichy szmer rozmów, niegłośne jęki, płacz dzieci. Nie czuję obolałych nóg ani ciężaru tobołu na plecach. Nie czuję nic poza przerażeniem, poza rozpaczliwym osamotnieniem. Zostałam sama i może nigdy się nie dowiem, co się stało z moimi najbliższymi. Mrok przechodzi w ciemność, w której zaczynają rozbłykiwać światełka świeczek. Tracę nadzieję, jestem u kresu sił, ale uparcie krążę. Depczę jakieś zawiniątka, może czyjś jedyny dobytek, potracam wystające ręce i nogi, czasem słyszę przekleństwa. Nie czuję głodu, jakie to ma znaczenie? Mam w sobie mrok, jak mroczne jest wszystko, co mnie otacza.

Nagle... nagle obejmują mnie czyjeś ramiona, słyszę szloch i nieskładne słowa. Od razu wiem, że to Matka! W jednej chwili wszystko staje się inne, łatwiejsze do przeżycia. Mikroskopijny okrucieństwo szczęścia wśród niezmiernych tragedii. Po prostu jesteśmy znów razem!

Rodzina moja koczuje na niewielkiej słomianej macie, jakich pełno jest wokół, uszczęśliwieni moim odnalezieniem ścieśniają się do granic możliwości, abym mogła usiąść na skrawku miejsca. Patrzę na ten skrawek, czuję ból w obrzmiałych nogach, ulgę przynosi sama myśl, że nie muszę już na nich chodzić. Ale w nikłym blasku choinkowej świeczki dostrzegam, że mata... żyje. To nic, że czarna od brudu, to można znieść. Ale rusza się, dosłownie, pełna karaluchów, pluskiew i wszy. Nie, nie mogę usiąść. Nie doszłam jeszcze do kresu umęczenia. Moi bliscy już najwyraźniej doszli. Opieram się o plecy siedzącej Matki, potem o ramię Ojca, tak odpoczywam. A potem już do rana krążę wśród leżących pokotem i usiłuję zająć czymś ręce i myśli. Pomagam wyjść do latryny tym, którzy poruszają się z największym trudem, tulę

jakieś płaczące maleństwo, którego matka nie może już utrzymać w ramionach, podsuwam pod czyjeś usta resztki płynu w butelce chronione jak skarb, kogoś gładzę po głowie, uciszając jego szloch... Godziny do świtu dłużą się w nieskończoność.

Ranek wita nas chłodny, prawie mroźny. Zimno przenika umęczone, obolałe ciała. Odzywa się głód, mija przecież doba od ostatniego, jakże skromnego, posiłku jeszcze w Warszawie, jeszcze w domu. Jęczmienny chleb upieczony ostatniej nocy przed wyruszeniem w nieznaną drogę stwardniał tak, że z wielkim trudem da się rwać w kawałki. Ktoś niedaleko nas mówi, że na zewnątrz wydają gorącą kawę. Nie zdążyliśmy jednak wyjść na poszukiwanie. Do hali wdzierają się niemieckie wrzaski, z których dla nas wynika jedno: mamy wszyscy natychmiast wyjść. Tłum podnosi się, zbiera manatki, niemrawo rusza do wyjścia.

Tuż za wrotami wita nas szaro-zielony szpaler: to kolejna segregacja. Czy wczorajsze sito nie było dość gęste i zdolnych do pracy wyłowiono za mało? Stoimy przerażeni, trzęsąc się z zimna, niewyspania, zdenerwowania, potem ruszamy wąskim szeregiem wzdłuż zielonego szpaleru, u którego końca stoi trzech oficerów SS. To oni wydają wyroki. Za chwilę zapadnie wyrok na naszą grupkę rodzinną... Zbliżyliśmy się... Już widzę, że przeszli Stenia i Janusz z dziećmi, pejcz jednego z wyrokujących wskazał stojący na bocznicę pociąg towarowy. Przeszli, ale stanęli z boku, czekając na pozostałą rodzinę. Przeszedł Dziadek. Ale i on skierował się na bok, na pewno boi się iść sam. Kolej na moją Matkę obejmującą młodszego dziecko. Ruch pejcza: przeszli w stronę bocznicę. Po kilku krokach zatrzymują się, nie idą do pociągu... Ojciec pokazuje opasłemu Niemcowi swoje zaświadczenie, które wczoraj nie zawiodło. Tamten czyta, potem wzgardliwie oddaje papier i pejczem wskazuje kierunek przeciwny niż bocznicę. Ojciec jednak nie odchodzi, stoi nieruchomo. Ludzie napierający z tyłu zasłaniają go, cofa się, nieznacznie przesuwając się w lewo, skąd widać tych, którzy idą w stronę pociągu... może chce choćby gestem ręki pożegnać żonę i syna?

Nagle od grupy stojącej jeszcze w oczekiwaniu z boku, poza szpalerem, po kontroli, odrywa się dziecko. Przebiega za plecami Niemców, kieruje się ku grupie stojących tam ludzi... i wpada w ramiona mojego Ojca. To mała Jola. Dlaczego odbiegła od swoich rodziców? Jakie zadanie jej powierzono? Ojciec nie zastanawia się, instynkt każe mu chwycić dziecko na ręce, cofnąć do szpaleru uchodźców zbliżających się do kontroli... podchodzę bliżej... słyszę urywany głos Ojca: „Sam... z dzieckiem... żona pod gruzami...”. Ruch pejcza w kierunku pociągu...

Teraz przyjdzie kolej na Babcie i na mnie. Ona poruszając się z trudem, nie nadążała za Rodziną, ja czekałam na nią. Teraz boję się tego, co może się stać. Zostanę rozłączona z moimi najbliższymi jak wczoraj, ale dziś nie będę już miała do kogo uciekać. Pociąg odjedzie, ja zostanę, wywiozą mnie gdzie indziej... Decyduję się prawie w ostatniej chwili. Babcia stoi tuż obok wspierając się na lasce. Przesuwam swój toboł z pleców na piersi, odchyłam się do tyłu i biorę Babcie na plecy, teraz, gdy mnie objęła, przytrzymuję jedną dłonią obie jej ręce, do drugiej dłoni biorę jej laskę (na szczęście nie trzyma jej kurczowo), laskę ostentacyjnie trzymam przed sobą... I tak, niemal całkowicie przygięta, zataczając się pod podwójnym ciężarem, zbliżam się do Niemców. Ruch pejcza kieruje mnie tam, gdzie chcę się znaleźć.

Teraz wszystko odbywa się szybko i sprawnie. Przed nami – pod parą – stoi pociąg towarowy, co wywołuje westchnienie ulgi: wagony odkryte, nie podusimy się w ścisłości. Do każdego wagonu ludzie upychani są bowiem bez liczenia, ile się zmieści. Potem ryglowanie. Ciasno, bo ciasno, ale jesteśmy uspokojeni, niemal szczęśliwi, bo razem. Próbuje tak się

ustawić, aby móc oddychać. Do naszych uszu dochodzi odgłos krótkich suchych wystrzałów. Ktoś mówi: „Rozwalają Żydów”. Babcia płacząc, odmawia modlitwę za konających i umarłych.

Po długich minutach załadowany pociąg rusza...

Mijamy znane stacje: Brwinów, Milanówek, Grodzisk... Wyrzucamy skrawki papieru pisane w wielkim pośpiechu, czasem bez adresu, tylko z nazwiskami kogoś z rodziny, znajomych i nieznajomych: że przeżyliśmy Powstanie i jedziemy w nieznane. Gdy mijamy Brwinów, w mojej pamięci ożywa wspomnienie jakiegoś letniego dnia. Kiedy to było? W poprzednim życiu? Zaledwie trzy miesiące temu?... Wokół ciche rozmowy – dokąd nas wiozą? Panuje ogólne przekonanie, że do Oświęcimia. Budzi się przerażenie. Ci, co stoją z brzegu, otrzymują zadanie śledzenia nazw mijanych stacji. Niedaleko Piotrkowa pociąg zwalnia, chociaż i przedtem daleko mu było do pośpiesznego. Ku naszemu zdumieniu ścieżką obok toru idą w kierunku Warszawy dwie kobiety z tobołami na plecach. Krzyczą do nas – po wielokroć – że też są z Warszawy, że nasz transport, tak jak wczoraj ich, nie jedzie do obozu, że niedługo nas wypuszczą. To nam poprawia samopoczucie.

Po paru godzinach jazdy okazuje się ponadto, że przy dobrej woli najbliższej stojących można od czasu do czasu przykucnąć i usiąść na własnych piętach. Dobrej woli nikomu nie brakuje, wynieśliśmy ją z Powstania. Na zmianę więc to się ścieśniamy do granic możliwości, aby inni mogli choć na chwilę przykucnąć, to sami z ulgą przysiadamy. Ktoś zaczyna jęczeć. Natychmiast odzywa się głos: „Ludzie zróbcie trochę miejsca rannemu, niech wyprostuje nogi”. Przyciskamy się do siebie tak, że już oddychać trudno, ranny przestaje jęczeć. Jakieś dziecko krótko i żałośnie zapłakało. Na ogół dzieci nie słychać, choć jest ich między nami sporo. Są dzielne, nad podziw wytrzymałe. Ten krótki żałosny płacz znów wyzwała ludzką solidarność: robi się nieznaczny ruch, ktoś najbliższej stojący podaje dziecku coś do picia (choć każda kropla płynu jest już na wagę złota). Wszyscy cały czas troskliwie osłaniają dzieci przed zaduszeniem, biorąc na ręce własne i cudze.

Szukam wzrokiem moich Dziadków. Oni nie mogą przysiąść na swoich mało sprawnych nogach. W dodatku za plecami mają już tylko ścianę wagonu z desek, które ustąpić nie chcą. Staruszkowie nie wybierali tego miejsca, ale początkowo byli z niego zadowoleni, licząc na to, że będzie im mniej duszno niż w środku wagonu. Teraz jest im bardzo zimno. Nie ma możliwości zmiany miejsca.

Zapada zmrok. Od paru godzin siąpi deszcz kapuśniaczek, zimno wciska się nawet między ciasno stłoczonych ludzi. Nogi w przysiadzie szybko drętwieją. Wyprostowane gną się pod ciężarem własnego zmęczonego, bezwładnego ciała. Nikt tu jednak nie upadnie, nie ma obawy. Właśnie niedaleko mnie jakaś kobieta mdleje. Na stojąco. Ciężko opiera się o moje ramię, z drugiej strony ktoś klepie ją w policzek. Pomaga.

Zupełnie już ciemno. Długi postój przed jakąś stacją, co jest jeszcze gorsze niż ruch pociągu. Już nikt nie wie, gdzie jesteśmy. Gdy wtaczamy się wreszcie na stację, jej nazwa pozostaje w ciemnościach niewidoczna. Jedni mówią, że to Częstochowa, inni wymieniają nazwy miejscowości, które mijaliśmy za dnia lub takie, przez które przejeżdżać się nie powinno, jeśli nie jedziemy do Oświęcimia. Gubimy się w domysłach. Zmęczeni popadamy w milczenie. Nie mamy już siły na strach. Po peronie chodzą niewidoczni ludzie, słychać ciężkie stąpanie. To nasza eskorta. Potem lekkie drobne kroki. Czyje. Nagle w wagonie powstaje małe zamieszanie, bo na peronie rozbłyskują przyciemnione światła latarek. Coś się tam dzieje...

Za chwilę do rąk ludzi stojących z brzegu trafiają... niewiarygodne... miski napełnione czymś gorącym! Nikły zapach zupy! Szczęśliwcy, którym dostały się te miski, łapczywie chlepczą kilka łyków, podsuwają miski dalej stojącym. Krążą też kawały świeżego chleba. Zziębnięte ciało rozgrzewa się parą gorącymi łykami, serca rozgrzewa czyjaś dobroć. Czyja? Ludzi z RGO (czyli Rady Głównej Opiekuńczej, na którą zezwolił okupant)? Ale też tych, co dzielą z nami koszmar tej drogi.

Ruszamy podniesieni na duchu, ale też rozczarowani. Dlaczego nas nie wypuszczono? Naiwne pytanie! Jedziemy przecież już kilkanaście godzin, pęcherze tego nie wytrzymują. Znow długi postoje i zaryglowane wagony. Ludzie błagają (kogo?!) o litość. Eskorty to nie porusza.

Zbliżyliśmy się do Częstochowy. Ktoś ustalił to ponad wszelką (dla niego) wątpliwość. Znow postój. Bardzo długi. A potem... potem pociąg rusza w odwrotnym kierunku. Podobno przed nami zerwane tory. Skąd ta wiadomość? Pociąg długo weksluje, wreszcie wjeżdża na bocznice i staje. Stoi do rana. Nigdy nie przypuszczałam, że można spać na stojąco. Można. Człowiek wytrzymuje o wiele więcej, niż sądzi, że wytrzyma.

Nad ranem, w pierwszym świetle nowego dnia, przemoczeni (bo deszcz ciągle siąpi), przemarznięci i zdrętwiali słyszymy odgłosy odryglowywania wagonów. Pora na nasz wagon. Ludzie stojący najbliżej wysypują się bezwładnie, inni wyskakują, podają pomocne ręce mniej sprawnym, próbują wynosić zupełnie niesprawnych. W zamieszaniu nie widzę moich Dziadków... Najeżone tuż obok wagonów lufy karabinów są ostrzeżeniem, aby się nie rozglądać. Ostrzegają, aby się nie oddalać nawet na kilka kroków. Puszczają więc wszystkie hamulce: niepokoju o najbliższych, potem wstydu, ludzkiej godności, wpojonej od dzieciństwa kultury. Zanika potrzeba intymności. Jedyne uczucie: ulga. Potem widok, który w pamięci zostanie chyba na zawsze – długi rząd przykucniętych blisko siebie i tuż obok wagonów ludzi, zaś między nimi a wagonami eskorta z karabinami gotowymi do strzału.

Po kilkunastu minutach znow nas upychają w wagonach, ryglują. Ruszamy. Jedziemy. Stajemy. Mijamy stacje, na których nikt nam nie poda gorącej zupy ani kawałka chleba (nasz domowy chleb stwardniał na kamień). Deszcz ciągle mży. Ciasno upchani stoimy otępiali, niezdolni do myśli. Płyną godziny kolejnego dnia. To już czwartek, piąty października. Chwilami zapadam w męczącą drzemkę, oparta o Matkę, która stoi jak i ja. Męczące majaki, jakieś obrazy z dalekiej przeszłości, z normalnych dni, to znow obrazy z Powstania. Gdy budzę się z płytkiej drzemki, jestem przekonana, że pociąg widmo nigdy nie dojedzie do stacji przeznaczenia. Jakie jest to nasze przeznaczenie... Tu myśl się urywa...

Wieczorem, a może już nocą, dłuższy postój. Cały wagon, wszystkie wagony, pogrążone są w letargicznym półśnie. Łoskot odryglowywanych drzwi wydaje się częścią majaków. Ale ludzie niespodziewanie znow wysypują się na ziemię. Leżących karabiny szybko stawiają do pionu. Na niedługo zresztą, bo mało kogo nogi są w stanie utrzymać. Jednak powoli, wśród ciosów i wrzasków, formuje się długi szereg, w ciemnościach prawie niewidoczny. Kolby popędzają, ktoś pada, szereg w pobliżu łamie się, nikt nie wie, co się dzieje, nikt chyba nawet nie chce wiedzieć, dokąd idziemy.

Przed nami wyłaniają się z ciemności słabo czymś rozświetlonej zarysy jakiegoś budynku czy baraku. Kolby wpędzają grupy ludzi do pomieszczeń z desek. To jednak baraki. W kolejnym, do którego mnie wpędzono, ktoś zapala zapalniczkę, oświetlając rzędy prycz pokrytych słomą.

Każdy z wpędzonej ze mną grupy wali się na najbliższe wolne miejsce i natychmiast zasypia. Zasypiam i ja bez myśli, gdzie jest moja Rodzina. Gdzie cały transport?...

Rankiem budzi nas słoneczny brzask sączący się przez szpary w ścianach z desek, przez niedomknięte drzwi. Niedomknięte, a więc można wyjść. Nie jesteśmy zaryglowani. Powraca mętna, bo mętna, ale jednak świadomość. Ciała zaczynają odczuwać przeraźliwe zimno po nieprzytomnie przespanej nocy. Ale co znaczy zimno wobec możliwości wyciągnięcia się na czymś miękkim i – jak się wkrótce okazuje – czystym. Nie możemy zrozumieć, dokąd nas dowieziono, a także co będzie z nami dalej.

Wrzasków, które towarzyszyły nieprzytomnemu zasypianiu, nie słychać. W ogóle nie słychać żadnych bliskich głosów. Nasłuchujemy... dochodzą jakieś dalekie szmery ... a także dziwne odgłosy, bardzo bliskie i bardzo swojskie. Nie wierzymy własnym uszom, ale słyszą to wszyscy już obudzeni: to rżenie koni!

Jak się wkrótce okazuje, jesteśmy w Koniecpolu (koniec jakiego pola?). Niemców nigdzie nie widać ani nie słychać, a to końskie rżenie oznacza, że w pobliżu stoją furmanki (określane jako podwozy), których zadaniem będzie rozwiezienie ludzi z transportu warszawskiego po okolicznych wsiach w promieniu kilkunastu kilometrów. Takie informacje uzyskujemy w punkcie RGO. Punkt mieści się w pobliżu kilkunastu baraków, w których przywiezieni w nocy wygnańcy z Warszawy spędzili spokojną noc. Teraz w tłumie odnajdują się pogubione w transporcie rodziny. RGO rozdaje ponadto kubki z gorącą kawą, kromki świeżego chleba z margaryną oraz numery furmanek, które mają nas porozwozić po okolicy.

I oto ostatni etap naszej przymusowej podróży, naszej wygnańczej drogi z Warszawy przez obóz w Pruszkowie. Jedziemy furmanką – Dziadkowie, Rodzice i ja z Bratem. Za nami toczy się kolejna, a w niej Janusz z rodziną oraz dwie nieznanne nam osoby. Sympatyczny właściciel furmanki podwozy mówi, dokąd on nas wiezie: mianowicie do wsi Zawada w pobliżu Irządź, niedaleko Szczekocin (nic nam te nazwy na razie nie mówią). W Zawadzie czekają państwo Jadwiga i Wacław Urbańscy.

Na te furmanki podwozy ładowaliśmy się w Koniecpolu z wielkim trudem i w głuchym milczeniu, cały nasz transport. Prawie nie mogliśmy uwierzyć, że nic nam już nie grozi, że jedziemy na wieś. Najważniejsze było to, że ktoś na nas czeka. A teraz jedziemy wolno, bardzo wolno, koła wozu skrzypią przeraźliwie, tocząc się w głębokiej piaszczystej koleinie. Po jednej stronie drogi widać jakiś laszek, po drugiej jak okiem sięgnąć pola. Przygrzewa jesienne słońce. Nad nami niebo czyste, niezasnute dymami, nie sypią się z niego bomby. I nawet nie pada deszcz, który przemoczył nas niemal doszczętnie podczas wygnańczej drogi z Pruszkowa. Mimo skrzypiących kół furmanki słychać śpiew ptaków, ale nic nie zakłóca niesamowitej, wprost nierealnej ciszy. Może się wydawać, że znaleźliśmy się już na tamtym świecie.

Po wielu godzinach, późnym popołudniem, na „tamtym” świecie czeka na nas dom z przyjaznymi ludźmi. Normalny dom, którego okna mają całe szyby i nieosmalone pożarem ściany. W tym domu czekają miednice pełne gorącej wody (wody czerpanej ze studni bez zagrożenia życia). Czekają mydło i czyste ręczniki. A potem siadamy przy stole nakrytym obrusem, a na nim kopiaste talerze z jajecznicą i mleczna kawa. Odbieramy to wszystko jakby ciągle nie na jawie.

Ponad tym unosi się z a p a c h ś w i e ż e g o c h l e b a. Najpiękniejszy z zapachów świata.

Źródło:

<http://dulag121.pl/encyklopediaa/lopalewska-rozumowa-lucja-zapach-swiezego-chleba/>